

PRIGL.CZ

Z języka czeskiego przełożyła Katarzyna Dudzic-Grabińska

1.

Kwarantanna: nie udawajcie, że wam się nie podobało, wy leniwe dziwki

Siedzieć sobie w ciepłku, nigdzie się nie szwendać, no chyba że po piwko do lodówki. Koronawirus wyniósł tę czeską surwiwalową strategię do poziomu głównego czynnika bezpieczeństwa narodowego. Okazało się, że Czechom za bardzo nie przeszkadzają zamknięte granice, zamknięte burdele, a nawet zamknięte knajpy. Artyści, przez swoją wrodzoną złośliwość, zapełnili sieć koncertami, czytaniem i nagraniami spektakli, o które nikt się nie prosił. Ale to pisarze pokazali swoje prawdziwe twarze skurwysynów pierwszej wody, kiedy wypuszczając bez wahania w eter swoje opowiadania z kwarantanny, udowodnili całemu narodowi, że mają życie nudniejsze niż księgowa w dziale płac.

Większość ludzi pomogła światu pogrążonemu w kryzysie w ten sposób, że nie przeszkadzała. Kto nie ratował ofiar pandemii w szpitalach, mógł co najwyżej ratować piwo przed skisnięciem w wyprzedazach minibrowarów. Zatem wreszcie na filozoficzne pytanie: „Co robić”, mogliśmy sobie z czystym sumieniem odpowiedzieć: „Nic”.

Jedność narodowa

Podczas gdy społeczeństwo narażone na nieprzewidywalne skutki przebywania na zewnątrz niepotrzebnie się dzieli, jednoczy je, a przynajmniej zjednoczyła na kilka tygodni, stabilność domowego więzienia. Faceci, toczący po ulicach piwo w beczkach czy targający je w praktycznych plastikowych butelkach, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia znad maseczek, połączeni świadomością, że wprawdzie sięgają totalnego dna, ale nie są w tym odosobnieni.

Prawdziwa solidarność zapanowała również w kolejkach marketów budowlanych. Dzięki sumiennemu utrzymywaniu dwumetrowych odstępów między wózkami przeciążonymi deskami i nawozem udało nam się nawet w szczytowym okresie pandemii udoskonalić przeszklone balkony melin w blokach i obciążone hipoteką trawniki na przedmieściach.

Również cnoty obywatelskie, w innych warunkach skarłowaciałe, w sieci miały się znakomicie. Do nieustannych urzędowych apeli, byśmy wszyscy zainstalowali na swoich telefonach e-maseczkę, ludzie z własnej woli dołączali z entuzjazmem, pisząc posty o

spokoju, uśmiechu i kanapowej solidarności. Dzięki update'om zdjęć profilowych z zasłoniętą twarzą wzajemnie podtrzymywali scrollujące morale narodu.

Rozczarowanie preppersów

Jednakowoż nie każdy jest zadowolony z gładkiego przebiegu pierwszej fali koronawirusa.

– To ma być koniec świata? – warczy wujaszek, który razem z grupką innych pojebów miał w lesie za miastem przygotowaną biogazownię, szklarnię, palenisko i regał wypełniony leczo z kiełbaską w puszcze. Data przydatności do spożycia: 2048 rok.

Ale teraz przekonał się, że nie umiejętność podpalenia wilgotnego drewna za pomocą złamanej zapalki w ulewnym deszczu, lecz udostępnianie cudzych tweetów dla followersów na Facebooku okazało się tą ewolucyjną umiejętnością, dzięki której jednostka przeżyła apokalipsę w dobrym zdrowiu.

Netflix, porno, Uber Eats, fobie społeczne i społecznościowe sieci, sztuka kulinarna, xanax i home office zrobiły z nas największych preppersów XXI wieku. Ludzie stojący twarzą w twarz z globalną pandemią nie tylko nie zwariowali, lecz wręcz przeciwnie – z uśmiechem na zaokrąglonych policzkach rozkręcili w sieci drugą karierę i jako degustatorzy wina albo przewodnicy po pieczeniu chleba na zakwasie zagnieżdżają się na swoich kanałach na YouTube.

Partnerska kwarantanna

Kwarantanna na moment zatrzymała weekendowe zdrady. Przećpana elektrocyganeria, zamiast woreczkami z MDMA na imprezie, wymachuje wiertarką akumulatorową, budując metodą DIY kurnik w domku na wsi. Gorączkowe majsterkowanie w czasie pandemii jest charakterystyczne dla wszystkich, którzy chcą zagłuszyć natrętnie pytanie: „Z kim ja, do kurwy nędzy, żyję?”.

Oprócz majsterkowania podczas kwarantanny kwitnie też przemoc domowa. Ale psycholożki na linii nie muszą się tym stresować, ponieważ poturbowana stara i tak nie może zadzwonić na telefon zaufania, bo stary nie ma gdzie wyleźć do knajpy, i po wysiłku leży, podśmierdując, na kanapie.

Tymczasem single zaczęli w pełni doceniać metafizyczną rolę Facebooka i Instagrama, kiedy za pomocą wstawiania swoich fotek w otoczeniu motylków i kwiatków zadawali pytania ekranom: „Czy ja istnieję?”. Nawet jedno jedyne serduszko czy buźka z

łezką pod postem o pokonaniu rozwodowej traumy dzięki on-line jodze jest wytęsknioną odpowiedzią: „Nie martw się, istniejesz”.

Nażreć się w imię dobrobytu

Udało nam się nie zginąć przed telewizorem w czasie kwarantanny, i teraz jesteśmy gotowi, by heroicznie przyłożyć się do odnowienia gospodarki narodowej. Liczy się każde wypite piwko, zamówiony obiad i kupione w promocji pudełko czeskich pomidorów koktajlowych, zatem kanapowy pierdzioch machający portfelem na kelnera może się czuć jak pilot zrzucający prowiant nad Berlinem Zachodnim podczas sowieckiej blokady. Cały wachlarz rekreacyjnych, gastronomicznych i antydepresyjnych rozkoszy przeniósł się z rubryki „rozrzutne pierdolety” do rubryki „budujemy ojczyznę”.

Alkoholicy, wątrobowcy, cukrzycy i tysiące innych patriotów jest gotowych wywalczyć wzrost czeskiego PKB na froncie przystępnych frykasów. To im wszystkim poświęcony będzie pomnik Nieznanego Konsumenta z reklamówką w dłoni.

2.

Praga-Wschód, Praga-Zachód. Tu prawnicy rozwodowi są najbardziej cyniczni

Na wschód i zachód od stolicy ciągną się hale megamagazynów i łany pól rozprzedawanych po trzysta metrów kwadratowych pod budowę tęczowych minidomków. Okolica mniej więcej sto razy bardziej depresyjna niż wysmażone suszą i metamfetaminą Morawy Południowe.

– No to jesteśmy na miejscu – mówi agentka nieruchomości do młodej pary na poletku między pistacjowym, musztardowym a krwistoczerwonym domkiem. Gdyby w trójkę złapali się za ręce, utworzyliby ludzki łańcuch sięgający od płotu do płotu.

– Cena, jak na razie, to 2,8 miliona koron, ale właściciel jest skłonny ją obniżyć, jeśli szybko się państwo zdecydują – rozlega się głos agentki, podczas gdy, co najmniej w jednym domku, za plastikowym okienkiem, właśnie teraz, ktoś się masturbuje, żeby pokonać najostrzejszą fazę depresji. W tym krwistoczerwonym na bank. Para potrzebuje czasu na zastanowienie, czy to właśnie na tym poletku uzupełni krajobraz o brakujący kolor – chabrowoniebieski dom z mieszkalnym poddaszem.

Choć właściwie nie ma co tu uzupełniać. Ani umiejscowienie domów, ani ich orientacja nie mają żadnej logiki. Po prostu każdy wyrwał swoje pole o wielkości 15 na 15 metrów i postawił na nim klocka z katalogu.

– Tak to wyglądało na stronie internetowej – wyjaśnia świeżo zahipotekowany sales manager swoim ubogim przyjaciółom rozsadzonym na plastikowych krzeselkach, dlaczego widok z przeszklonej ściany salonu składa się z samochodu sąsiada i kontenera na plastiki.

Ludzie oczekujący sjesty pod altanką w stylu castoramianego klasycyzmu twardą ręką kierują firmami budowlanymi i z wyostrzonym wzrokiem pilnują, aby ich architektoniczne marzenie zmieniło się w rzeczywistość dokładnie według katalogu: od pseudomarmurowych dodatków na fasadzie aż po uroczy żwirek na drodze dojazdowej. To, że w finale domek wygląda równie debilnie jak na trójwymiarowym renderze, daje im pewność, że nikt ich w życiu nie wychujął.

Różnica między szeregowką a domem wolno stojącym polega na tym, że „wolno stojącemu” zostawili metr przestrzeni od fasady, aby świeżo upieczeni właściciele mogli się przejść dookoła i naciągnąć na płot zieloną siatkę „przeciwko wścibskim”. Mimo to czasem przez kuchenny portfenetr spotykają się smutne oczy sąsiadów: „Poruchamy?”. Zdrada jest tu tak samo nieunikniona jak dorzucenie do zakupów batonika wystawionego przy kasie.

Pierwotną ideą życia w suburbiach było „mieszkać jednocześnie blisko miasta i natury”. W Pradze-Wschód/Zachód ani jedna ze stron tego marketingowego równania nigdy nie była prawdą. Jeśli policzyć korki na drogach dojazdowych z centrum, w których uwięzione szczury biurowe z Ďablic przeklinają szczury biurowe ze Zdib: dlaczego, „do kurwy nędzy, nie jeżdżą pociągiem”, czas przejazdu tam i z powrotem to przynajmniej dwie godziny. Wątpliwa jest również bliskość natury – reprezentowanej najczęściej przez hałdę ziemi nawiezioną koparkami, zasłaniającą bezpośredni widok na żwirownię czy fabrykę, powoli zarastającą chwastami i krzaczorami.

Mimo to z jakiegoś powodu „bliskość autostrady”, czy przynajmniej „szybki dojazd”, są najsilniejszym feromonem dla pracujących par poszukujących „mieszkania za miastem”. Jak turyście stojącemu przed wodospadem Niagara, oczarowanemu majestatem przyrody, w którym rozpuszczają się jego błahe obawy i niepokoje, tak też obciążonemu hipoteką człowieczkowi niesłabnący szum autostrady przypomina, że jest on częścią czegoś większego. Nawet gdy zgaśnie grill ogrodowy kadr korporacyjnych średniego szczebla, tiry wciąż będą rozwodzić towary za ekranami akustycznymi. Taniec śmierci zamówień i wynagrodzeń accounta jest nieskończony, ponieważ wklepane do systemu dane z faktury na wieki pozostaną składową jednej, cyfrowej rzeki życia.

W każdym razie myśl o śmierci nie jest częścią środowiska naturalnego praktycznie wykształconych mężczyzn z zakolami i kobiet z bobem, których wykształcenie nie jest istotne, ponieważ zajmują się dziećmi. Trzeba utrzymać rytm spłacania hipoteki. Dlatego głównym motywem wszystkich przedmiotów jest martwa cisza – podczas weekendu podkolorowana hałasem sprzętu AGD. Ale kiedy na chwilę zamilkną kosiarki i myjki ciśnieniowe, czułe uszy mogą z oddali wychwycić szelest papierów rozwodowych. W najbliższym miasteczku jest ogromne biuro podawcze, w samym rynku.

O ile małżonkowie ustalą podział finansów, sprawa rozwodowa jest całkiem szybka, a sprzedaż domku niemal natychmiastowa. Martwy związek przysłuży się żyjącym jak truchło zwierzęcia. Tysiące par w godzinach pracy odświeżają stronę jak szaleni. Sprawdzają, czy morze targu nieruchomości nie wyniosło na brzeg nowego trupa, żeby mogli się rzucić na niego jako pierwsi. W okolicy Pragi ogłoszenie „Na sprzedaż” może znaczyć tylko te trzy rzeczy: rozwód bezdzietnych, rozwód z dziećmi, rozstanie przed ślubem. Agenci nieruchomości też są rozwiedzeni. Pozbycie się byłego gniazdka miłości było pierwszym udanym interesem w ich karierze.

Posiadanie domku z hipoteką i samochodziku na raty symbolicznie przesuwa przedstawicieli klasy niższej do tej średniej. I właśnie tu, na pograniczu dwóch płyt tektonicznych społeczeństwa, związki są mielone najintensywniej. Podczas gdy w wynajętym mieszkaniu w bloku para nie zaprzętała sobie głowy forszą, w tęczowym tycidomku co miesiąc obserwuje, jak na koncie ląduje wielkie gówno. Wolę wspólnego spłacania osłabia również nieunikniona świadomość, że cała ta zabawa w awans społeczny jest fejkem.

Podobnie jak zaparkowana przed domem fiesta za trzysta patyków udaje atrapą zderzaka i zbędnym chromowaniem astona martina za trzy bańki, tak dwa drewniane słupy z Obi podpierające mieszkalny strych mają przywoływać z wyobraźni pompatyczną werandę południowej hacjendy, a systematycznie wysypywana z worka kora wokół trzech tui – ogrody pałacowe. Nie jest to zbyt przekonujące. Ale jak zawsze przypominamy naszym czytelnikom: każdy pacan ma prawo do szczęścia.

3.

Coach. Handlarz gównem na patyku

„Zostawiłem go, żeby się dwa razy zesrał w gacie i potem już sam siadł na nocnik”. W knajpie ojciec wyjaśnia, jak przeprowadził swojego potomka przez kluczowy moment w życiu. Koledzy kiwają głowami z powagą. Ale stary nie kontynuuje swojego wywodu, ponieważ w telewizji właśnie zaczyna się hokej. Ten głupek nie wie, że spostrzeżenia na

temat srania poza sedesem powinien rozwinąć na jakieś 150 stron, zatytułować na przykład „Jak się pozbyć pieluch starodawną indiańską metodą” i sprzedawać za 256 koron, wliczając VAT, organizować fekalne seminaria z mikrofonem wpiętym w klapę, drobnym poczęstunkiem i tlenioną blondyną z ulotkami w drzwiach.

Jeszcze do niedawna wszyscy rozumieliśmy, że rzeczy, na temat których wiedzę nabyliśmy podczas swojego zawszonego życia (przykładowo, że dupa mniej swędzi od bawełny niż od poliestru albo że po oralu na chwilę przestanie odwalać twojej brzydszej połowie), nie są pod żadnym względem odkrywczyste. Do tych wniosków doszło już miliony wieśniaków przed nami i przyjdą one do głowy każdemu, kto osiągnie określony wiek i znajdzie się w określonej sytuacji.

Do tej pory ludzie opowiadali sobie w knajpie swoje spostrzeżenia, doświadczenia i miniaturowe odkrycia przede wszystkim dlatego, żeby nie zapadła cisza. W swoim pijaństwie mogli się wyzłośliwiać i tym sposobem okazać odrobinę ludzkiego ciepłka.

– Ty, kurna, się okazało, że jak się nie boisz powiedzieć, że chcesz więcej kasy, to z reguły dostajesz więcej kasy.

– Kurna, ja to wiem od podstawówki.

Tylko że potem przyjechał [pan Lorenz](#) i zaczął SPRZEDAWAĆ swoje mądrości.

A po nim przybyli jego apostołowie. Nazwali się coachami i za stosunkowo niewielką opłatę sprzedają gówno na patyku, przynętę, której niemal nie da się oprzeć. Szczególnie ludziom, którzy nie mają nikogo, kto by im za darmo wciskał niechciane porady przy piwie albo kawie.

Od piwa do mikrofonu

„I jak było wczoraj?”

„Jprdl, Jarda zwariował do reszty, tłumaczył mi METODĘ, jak odpocząć na urlopie”

„KURWA LOL”

Kiedy knajpiane mędrkowanie kolegi zaczyna być zbyt naciągane, towarzystwo przy stole każe mu spierdalać i w naturalny sposób ktoś inny zabiera głos. Jednakowoż coach nie może spierdalać, z racji pełnionej funkcji, zatem możecie naprawdę nauczyć się od niego,

- [jak w stu procentach odpocząć na urlopie,](#)
- [jak przygotować weselny toast,](#)
- [jak robić zakupy,](#)

a jeśli do paralizującego poczucia samotności dołożycie sobie paranoję i schizofrenię, możecie podskoczyć tu do [Petra](#) na kurs „Jak przeżyć koniec świata”. Właściwie to nie musicie nigdzie iść. On przyjedzie do was, jak mu zapłacicie za bilet.

Tak samo jak w przypadku pornoli i fotografii ślubnej – możemy być świadkami godnej pożałowania dewaluacji również w obszarze coachingu. Kiedyś doradztwo uprawiali tylko ludzie, którzy zdobyli jakiś rynek, coś wymyślili albo nakłonili większą grupę ludzi do samobójstwa. Zaczynało się od stu tysięcy dolarów za godzinę, ale stopniowo cena szła w dół, aż doszliśmy do gratisowych e-booków „Jak zostać coachem”.

Co spowodowało, że knajpiane „dobre rady” zmieniły się w kursy on- i off-line? Że coraz więcej ludzi znajdujących się na pograniczu upośledzenia umysłowego ma potrzebę wyrażać swoje zalecenia za pomocą [wykresów](#)? Tak na marginesie, my na prigl.cz wprowadziliśmy coaching z wykresami już dawno temu. Tu na przykład przewodnik [Jak zamknąć gębę](#), a tu kurs on-line [Jak utrzymać się na rynku pracy z wrodzonym lenistwem i brakiem zdolności](#).

Piramida bezradnych

Podobnie jak sedes w galerii staje się sztuką, tak demokratycznie udostępniane wokół knajpianego stołu pieprzenie o głupotach zmienia się w mądrości o cenie rynkowej tylko dlatego, że wysrywa je z siebie ktoś w wynajętej do tego willi. W połowie szkolenia rozdaje wszystkim ciasteczka, a na koniec certyfikat za to, że patrzyli, jak wyciska z siebie te [przypadkowe gówienka](#).

To, czym coache za drobną opłatą dzielą się ze swoją publicznością, to przede wszystkim własna desperacja i wiadomości zaczerpnięte z „wyższej szkoły życia”. Coach jest prawdziwą grubą rybą w stawie pełnym przegrywów. Bycie „jeszcze kilka lat temu na kompletnym dnie, zadłużonym na miliony oraz uzależnionym od metamfetaminy i alkoholu” to niepodważalne [referencje](#) coacha, który doradza w kwestii sukcesu, siły i zrównoważenia psychicznego.

Przeżyć upadki, wyłysieć już w zawodówce i nigdy nie nauczyć się [składni](#) – to z kolei kwalifikacje do nauczania „Mistrzowskiej komunikacji” i „Myślenia jak milioner”. Swoim drajwem guru oczarował również sprzedawcę gruchotów, który na koniec przyklepał mu ryzykowny leasing na piętnastoletnie audi, żeby mógł się nim pochwalić w [motywacyjnym wideo](#).

Magia coachingu właściwie polega na tym, że ci bardziej wygadani laureaci Nagrody Darwina pouczają tych bardziej zahukanych. To zarazem określa, kto komu na koniec płaci dwa patyki.

Intuicyjne „słuchaj kogoś, kto jest mniejszym durniem od ciebie”, w coachingu jest odwrócone do góry nogami. Im ktoś mocniej uderzy się w głowę, tym jest bardziej uznawany. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę współzałożyciel portalu oferującego kursy [byle czego](#), dlatego chwali się [gębą połamaną w trzech miejscach](#), której dorobił się, próbując przeskoczyć płot na oczach dziewczyn. Od tego czasu „kocha proste życie” oraz prowizję z pośrednictwa na [portalu dla desperatów](#).

Życiowa bezradność towarzyszy coachom i ich klientom również podczas seminariów. Fantazję trenerów na temat tego, czego zainteresowany mógłby chcieć od życia, wyraźnie określają reklamy loterii:

A: Stać na plaży z szeroko rozłożonymi ramionami naprzeciwko zachodzącego słońca.

B: Siedzieć na plaży z laptopem na kolanach.

W szczególności mężczyźni chcieliby zarabiać i innowować jak Steve Jobs albo zarabiać i ruchać jak DiCaprio. Odzwierciedlają to również filmowe wizualizacje z dziecięcymi mądrościami, dzikimi drapieżnikami lub po prostu ogólnymi krajobrazami.

Tytuł naukowy: dyletant

Wśród ludzi, którzy czują się we wszystkim bezradni, ten, kto twierdzi, że daje radę w jednej chujowej rzeczy, staje się człowiekiem wykształconym. Wystarczy okrasić się tytułami „były regionalny manager organizacji Toastmasters i prezydent klubu brneńskich Toastmasterów”, „pozytywny człowiek zainteresowany rozwojem osobistym” albo po prostu [mama](#).

Bycie mamą dwójki dzieci zdaje się dla czeskich coachów tak samo ważne jak MBA z ekonomii dla ambitnych chujków. Certyfikatem potwierdzającym kwalifikacje jest w tym wypadku zaświadczenie lekarskie o zszytym kroczu. Matkami próbują być też mężczyźni, z mniejszym lub większym powodzeniem, i z tego powodu kombinują aikido z mapowaniem odbytu w gronie przyjaciół (coś jak „Wszechświat otwartych mężczyzn”), po czym szerują na FB wideo [Jestem kobietą](#).

Naturalną konsekwencją macierzyństwa jest rozwód. Ale porządna pani coach w tej sytuacji również znajdzie potencjał handlowy. „Seks niewątpliwie jest częścią związku i dlatego z pewnością porozmawiamy też na ten temat” – [kusi](#) ekonomistka z wykształcenia. Po czym okazuje się, że to, co próbuje spieniężyć, to przede wszystkim własne lata frustracji

seksualnej. „Oczekiwania mężczyzn i kobiet w dziedzinie seksu różnią się zasadniczo” – brzmi początek wykładu za 900 koron za osobę.

Perwersyjna psychoterapia

Wygadany desperat jest królem wśród bojaźliwych. Jełop po przeczytaniu jednej książki wśród tych, co nie przeczytali żadnej, staje się mędrce. Moment „EUREKA!”, następujący po otwarciu *jakiejś* lektury, jest najczęstszym punktem startu kariery czeskiego coacha.

Ale są tacy, którzy w swojej praktyce obejdują się bez książki. Na przykład [Anička](#) „rozpala nad głowami żarówki uświadomienia, podaje klucze do niezbadanych perspektyw i coachuje sercem”. [Radka](#) natomiast „od ponad 20 lat porusza się w obszarze prowadzenia małych firm”. Sercem coachuje też Natałka, która dzięki niemu dokładnie [wyliczyła w procentach](#), co i jak działa we wszechświecie.

Czy da się w ogóle zdefiniować coaching? Otóż podobnie jak na przykład „influencer”, czyli człowiek, który na Fejsie czy Insta ma gówna z wielką częstotliwością, „coach” również nie posiada swojego sedna, zatem nie ma *na co* szukać słów. Najbliżej do rozwodnionych dyrdymałów, jak w przybliżeniu rozumiemy coaching, ma „zwyrodniałe, idiotyczne, dyletanckie symulowanie psychoterapii”.

Dyletanci z powołania bardzo dobrze o tym wiedzą, dlatego nie boją się publicznie [przyznać](#), że „łączą to, czego nie da się połączyć”, „zacierają granice między rzeczywistością a fikcją” oraz że z ich seminarium wyniesiecie raczej [przeżycia](#) niż wiadomości. Będziecie mieć cholerne szczęście, jeśli uda się wam wśród bezrobotnych ekonomistów i zasłużonych ćpunów z ezoteryczno-psychologicznymi ambicjami trafić na prawdziwego doktora medycyny. Wprawdzie ze specjalizacją [radiologiczną](#), no ale jednak przecież jakieś książki pani doktor musiała w życiu przeczytać.

Ostatecznie istotę czeskiego coacha najlepiej podsumowała [Verka](#): „Nigdy nie byłam piątkową uczennicą, nie byłam utalentowana w sporcie ani nie pocałowała mnie w dzieciństwie muza”. Dokładnie tak, Verka.